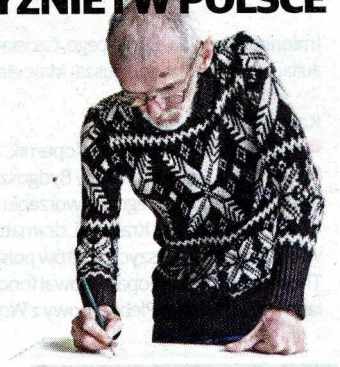


[STR. 14-15]

**WIELKI SONDAŻ KURIERA LUBELSKIEGO
I 17 INNYCH DZIENNIKÓW REGIONAL-
NYCH POLSKA PRESS GRUPY. WYSOKIE
POPARCIE DLA PRAWA I SPRAWIEDLI-
WOŚCI NA LUBELSZCZYŹNIE I W POLSCE**

Andrzej Kot, grafik
z Lublina, był chodzącą
miejską legendą, zosta-
wił po sobie tony prac.
Teraz trafiły do albumu.



STR. 20

Sylwia Hejno
s.hejno@kurierlubelski.pl



Kot - Psot z Lublina wbrał osobliwą datę śmierci, bo 17 lutego rok temu, w Świątowy Dzień Kota. Niektórzy mają życia, inni zaś - żywot - uważa Jarosław Kozłara, który znał Andrzeja Kota wiele lat, a także jest wydawcą i projektantem jego monograficznego albumu, „OT KOT”. Jego premiera odbyła się w pierwszą rocznicę śmierci artysty w Domu Słów, gdzie trwa poświęcona mu wystawa.

Jego twórczość liczy tony. Andrzej Kot, jak to kot, gdy już raz zamieszkał na papierze, zaczął wieszać na nim nieskończoną ilość równoległych żywotów. Kilka pudeł „kotów” musiało poddać się pewnemu rygorowi - tak, żeby w jednym miejscu były wrobelki, diabły, koty, raki czy ptaki. Z książki wyfruwają same dzięki nietypowej technice wydawniczej rodem ze starych chińskich ksiąg. Album - swolista mapa Kota - odzwierciedla nawet rozmiar papierów, na których tworzył - tekturkowe notatniki, szare, beżowe, pomarańczowe, raz to bardziej gładkie, raz bardziej szorstkie podłoża. To książki do rozszyfrowywania i dotykania. Bo Kot był esteta i nawet w rzeczywistości PRL-u potrafił wycałować co tylko chciał. Sam o sobie mawiał „Andrzej Kot - Psot z Lublina, to takie zwierzę, żyje na Grodzkiej, a mnoży się na papierze”. Ci, którzy go znali, wspominają rymowanki. Gdy miał dobry dzień, potrafił mówić rymami bezustannie, tak, że niewtajemniczeni tylko lypali spod łbów.

Był lokalną legendą, ale nie tylko lokalną. W żaden sposób nie jest to możliwe, aby podliczyć wszystkie jego prace, ani dokładnie zlokalizować ich obecność na świecie. Bo poza tym, że rysował cały czas, to obdarowywał swoimi pracami tych, którzy go otaczali. Odnosił światowe sukcesy (dostrzegły go najlepsze wydawnictwa od Europy po Tokio, brał udział w prestiżowych konkursach, m.in. zajął pierwsze miejsce na Międzynarodowym Biennale Ekslibristy Współczesnego w Malborku, ex aequo, obok holenderskiego twórcy Ceesa Andriessena).

Kocia legenda obrócił adres: Grodzka 19, Rodzina Kotów przeniosła się tam ze Starych Bronowic, nieżył ciekawego wówczas miejsca. Był rok 1952, jak pisze Grzegorz Józefczuk we wstępie do albumu „OT KOT”: „Nikt tu już nie pamiętał Waksmanów (obecnie znajduje się tam Rezydencja Waksmanred.). Żydzi zginęli lub wyjechali, aby ich dawniej dzielnicę, stykającą się z Grodzką, zamienionej w getto, wyburzano. Kto mógł przewidzieć, że nową, inną mitologię tego miejsca stworzy obecność Andrzeja Kota?”

Odnajdywał w powojennych zgłiszczach książki dawnych mieszkanców, napisane hebrajskimi literami, które go fascynowały. Z czasem stworzył sam swoje własne alfabety, w których litery były czymś więcej niż znakiem: znaczyły same w sobie.

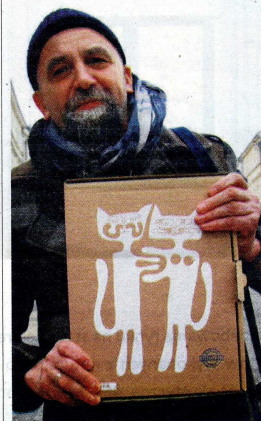
Dostał samodzielne mieszkanie w tej kamienicy, z którym związał się fizycznie i emocjonalnie. Na zachowanych czarno-białych fotografiach, które wykonał Jacek Wałdowski, jego sąsiad i przyjaciel, widzimy go na te skromnego królestwa: przypięte do kaflowego pieca wiszą dumnie prace, obok, na ścianie - teczka, na podłodze stoją tekturowe pudełka, a na łóżku siedzi przycupnięty on, czarny Kot. - Nawet święty Franciszek nie czułyby tu przepychu. Piórka, stalówki, obsadki, czarny i biały tusz, ekskluzywne papiery - to były jedyne skarby, które się tam znajdowały. Właściciel był dumny z ich posiadania jak z bentleya. Wszystkie zagraniczne - barter za artystyczny urobek rozsyłany

Ot Kot, CO na papierze żył wielokrotnie

● Jego najcenniejszymi skarbami były piórka, tusze i papiery, jedynym bogactwem: sztuka



FOT. LUBELSKI PRZEKAZAŁ WYKONANIE M. KOCIBIA, BARBARA



Lublin o Kocie
„OT KOT” album i wystawa Dom Słów, ul. Żmigród 1, wystawa do końca marca
- Wystawa grafik, rysunków, kaligrafii, ekslibrisów ze zbiorów Zbigniewa Józwicka. Muzeum UMCS (w gmachu Biblioteki Głównej), wystawa do połowy marca
- O Andrzeju Kocie powstały także filmy. „Jestem zajęty...bo w niebo wzięty” Jerzego J. Bojarskiego (premiery 16 lutego br.), „Alfabet Kota” Grzegorza Linkowskiego (2000.), aktualnie powstaje kolejny dokument o Kocie tego samego reżysera pt. „Życie na papierze”

► Nad artystycznym albumem o Kocie Jarosław Kozłara pracował dwa lata. Znajdziemy w nim prace znane i nieznanne

po całym świecie. Taki mi został obrazek pod powiekami, kiedy odwiedziłem Jędrusia pod koniec lat osiemdziesiątych - wspomina Jarosław Kozłara.

Nie miał zmysłu zarabiania na swojej sztuce. Niektóre swoje rysunkowe żarty podpisywał: „Bidofil A. K.”

Był ostatnim z mieszkanców, gdy w kamienicy zrywano dach. Nie chciał opuścić miejsca, które uważał za swój dom. „Zimny paradoks sprawił, że Stare Miasto wracało do życia, stawało się sercem XXI-wiecznego Lublina, zaś ulica Grodzka zdobywała status najważniejszej ulicy, ale już bez swojego nie-zwykłego mieszkańca. Po stracie Grodzkiej 19 Andrzej Kot dzielił czas między pracownię na Głębokiej, szpital psychiatryczny w Abramowicach i dłuższe pobyty w domu brata w Grodzisku, w tym podczas zimy” - pisze Grzegorz Józefczuk.

To, że chorował na schizofrenię nie było dla nikogo tajemnicą. Zdiagnozowano ją u niego w 1974 roku i odtąd stała się integralną częścią jego życia i twórczości. W żadnym wypadku jej nie determinowała. Był twórcą świadomym i solidnie wykształconym w swoim fachu. Do liceum plastycznego uczęszczał trzy lata, nauka przedmiotów ścisłych sprawiała mu kłopot. Wszystkie sekrety liter i czcionek zgłębił w Lubelskich Zakładach Graficznych przy ulicy Uniejskiej, regularnie jeździł do słynnej Oficyny Leona Urbanieckiego, jednej z najlepszych w Europie. „Zaiste tam robiono piękno druk” - podsumował Kot.

„Odkąd się znamy praca stanowiła dla Kota zajęcie absolutnie główne. Niczym innym nie żył. Jego rysowanie, jego dłutka były najważniejsze. Egoistyczne? Tak, egoistyczne. Ale każdy prawdziwy artysta jest egoista. Inaczej niewiele zwojuje” - piszą o nim Lech L. Przychodzki i Jacek Wałdowski w książce „Gdzie się czele nie nusz, szuka kociej duszy”. Był chudzielcem, miał drobną twarz, z której patrzyły przenikliwe, głęboko osadzone oczy. I „jeszcze śmiech, przynależący tak samo lotrom, jak szarym zjadaczom chleba”, to opisuje Kota Przychodzki. - Tak, to tego szelmowskiego uśmiechu najbardziej mi brakuje - dodaje Jarosław Kozłara.

Bliscy wspominają go następująco: skromny, cichy, nigdy się nie skarżył. Z drugiej strony był artysta totalnym, którego życie na wskroś przesiąknięte sztuką. I to była jedyna najważniejsza strona. Kochał ulotne druki miłocką bezgraniczną i odważną. Arsenał jego wyobraźni był wprost nieskończony. Styl miał równie bogaty, co oszczędny, tak fantazyjny, jak konsekwentny. A jego rysunki i stanowiące, graficznej linii rozdziły się w sposób niewymuszony i niekontrolowany. - Jest demingiem: może tworzyć nowe formy i nowe wartości, może ocalać i może strącać do piekieł (...). Wpada zwykle jak burza, sypie własnym (zawsze rymowanym) wierszem i znika, by po kilku dniach podzucić na biurko nowy druk, o którym nigdy nie wspominał - opisywał go Zdzisław Toczyński.

Litery jego alfabetów wiodły samoistne życie zakiełtane w przeróżnych zwierzęco-ludzkich formach, jednak jak nikt szanował słowo i miał do niego talent, czego dowodem są celne i zabawne kociofrazki: „Co czcionka, to zonka” czy „Kto czyta, ten chwytą”.

I choć w jego życiu bywało różnie, raz nawet przyjaciele musieli na łamach lokalnych mediów apelować: „Ratujmy Kota!”, to - co by się nie działo - nie puszczał z rąk notatnika. Aż w pewnym momencie przestał się „drużyć”. I to był ten najbardziej alarmujący sygnał. „Zmarł w dniu, który nasz infantryjny świątek ogłosił Dniem Kota. Cóż, Jędrzek zapewne o tym nie wiedział, a nawet gdyby, to tylko pewnie uśmiechnąłby się tak po kocie-mu, i na tym poprzestał. Bo tak naprawdę to nasz świat chyba niespecjalnie Kota obchodził” - pisze Marek Słomanowski w „O Andrzeju Kocie - pro memoriam”. ● ©©©

